

Zakaz zawracania głowy

Nieopodal ogromnego tronu wykonanego z poźółkłych kości mającego na tle wszechobecnej ciemności, na o wiele mniejszej kamiennej ławie, siedział smukły mężczyzna. Pod jego stopami, wiły się w pełnym pasji tańcu dwa śliskie węże, oplatając swoimi ciałami cienką laskę. W jednej ręce znużony trzymał nakrycie głowy, przyozdobione pierzastymi skrzydłami, drugą zaś podpierał jasny policzek. Słyszac w oddali przeraźliwe jęki, uniósł nieznacznie brwi, spoglądając przenikliwymi oczami. Gdy tylko z mroku wyłoniła się barczysta figura, młodzieniec wstał. Ukłonił się głęboko przed przybyszem. Ten, wyższy od niego rzekł:

– Mam dla Ciebie zadanie, Hermesie.

Jeszcze nigdy nie był aż tak znudzony. Posłaniec kroczył pewnie w stronę wyjścia Tartaru. Jednym z jego obowiązków, było przekazywanie korespondencji między bóstwami, stąd torba pełna listów przewieszona przez ramię. Idąc, przeciągnął zeszywniałe plecy. Gdy oddalił się od ciemnego podziemia na tyle, aby nie dostrzegł go Hades, ponownie spoczął na kamieniu. Delikatny wiatr niósł w swoich uściskach morskie powietrze. Słońce przecierało rozbudzone oczy pierwszymi promieniami, w oddali szumiały puszyste cyprysy, a tłusty aromat cytrusów osiadał na pobliskich roślinach. Nieopodal pasły się i ryczały ociężałe barany osaczone przez jaskrawe motyle i inne robactwo. Na ścieżce przed Hermesem wygrzewała się zwinna jaszczurka, błyskając łuskami. Przyglądał się drobnym ptakom dziobiącym w suchej ziemi, które łakomie połykały cząstki rozkruszonych przez niego migdałów. Na niebie, przez gęste powietrze przedzierały się zwinne jaskółki, falując rozdwojonymi ogonkami. Mogły dzięki swoim skrzydłom pofrunąć, dokąd tylko chciały, w przeciwieństwie do uduchowionego boga. Przepelniony żalem zaczął rozpamiętywać wydarzenia, które stanowiły dla niego źródło rozrywki. Niestety, gdy zorientował się, jak wiele czasu poświęcił na usługiwanie innym, zapłakał cicho. Był zrozpaczony, miał ochotę rzucić się w przepaść niczym sfinks odarty ze swojej enigmy. Pomimo swojego patronatu nad złodziejami czy kupcami, od dawna niczego nie ukradł, co w jego mniemaniu było wyrazem uległości i zgorszenia. Każdy dzień wyglądał tak samo – Hades powierzał mu swoje listy, które posłaniec miał zanieść na Olimp. Stamtąd otrzymywał pisma zwrotne, a po drodze do podziemia zabierał ze sobą kilka zabłąkanych dusz, które niemal zawsze stawiały opór, czyniac jego zadanie trudniejszym. Zastanawiał się, jak przerwać tą umniejszającą jego możliwościom rutynę. Zawistnie myślał o grającym całymi dniami na lirze Apollinie, o dionizjach organizowanych dla boga winorośli, o pogoni Artemidy za zwinną zwierzyną, o Erosie uganiającym się za zabawnym uczuciem. Wzgardliwie począł wymyślać na

bóstwa, których korespondencja ciążyła na jego ramieniu. Poirytowany, poderwał się i cisnął swój bagaż na drogę, płosząc przy tym ptactwo. Ze wznieconych tumanów kurzu, wydobył kilka listów i rozrywał je uskrzydłonymi dłońmi jak dzikie zwierzę. Wykrzykiwał na głos poufne konwersacje, śmiejąc się przy tym szyderczo. Jego widownię stanowiły otaczające go figowce, drzewa uginające się od pękających granatów i owce, które wystraszone cofnęły się nieco. Gdy wreszcie zrozumiał, co zrobił, ponownie zaszlochał. Groził skonfundowanej przyrodzie, przerażony wizją konsekwencji swojego czynu. Na szczęście, po chwili opanował się i wpadł na inny, mniej destrukcyjny pomysł. Uda się na ziemię, gdzie odda się śmiertelnym rozrywkom i przyjemnościom!

Gdy zjawił się w mieście, nie rozumiał, co mógłby ze sobą począć. Instynktownie zmienił swój wygląd na nieco bardziej wtapiający się w tłum. Skrzydła wyrastające z jego ciała zniknęły. Czarne, falowane włosy zastąpiły szorstkie, przyprószone srebrem, okalające angularną twarz o świdrującym spojrzeniu, ukrytym pod krzaczastymi brwiami. Jego wargi wyglądały teraz tak, jakby zostały obcięte tępą brzytwą. Druciane oprawki okularów spoczywały na greckim nosie, spod nich określały się zmarszczki spowodowane częstym uśmiechem. Zwiewną chlamidę zastąpił ciemny dwurzędowy płaszcz, jego szyję okalał komicznie wążutki szal. Po wszystkim udał się na pobliski przystanek, gdzie stało kilka osób. Tęga staruszka trzymająca w opuchniętych palcach kilka toreb z zakupami, pochylony mężczyzna o zimnym spojrzeniu z papierosem w ustach oraz ruda kobieta z synkiem ubrana w beżowy kożuch, która trzymała za rękę rozbrykane dziecko. To właśnie ona przykuła jego uwagę. Gdy stanął, udając, że czyta rozkład jazdy, uprzejma rudowłosa matka próbowała z nim porozmawiać. Przedstawił się nieznamym, a ta zaśmiała się, nie wiedząc, że to najprawdziwszy Hermes przed nią stoi!

– To tak samo, jak ten grecki bóg! W starostwie na drugim piętrze jest witraż z jego wizerunkiem. Nie pamiętam szczerze, czego był patronem, chyba podróźnych, dróg, handlu i takich tam...

Eureka! Wypowiedziane przez kobietę słowa nasunęły posłańcowi pewien pomysł. Podziękował zdziwionej jego reakcją, po czym wsiadł do losowego autobusu dla niepoznaki. Wysiadł na pierwszym przystanku, o wiele oddalonym od celu jego podróży. Niemalże od razu wiedział, w którym kierunku powinien się udać. Gdy szedł, zacierał ręce i śmiał się pod nosem ze swojego dziwaczego planu. Niedługo potem znalazł się na miejscu, pewnie przekraczając próg budynku.

– Dzień dobry. Czy znalazłem się w Wojewódzkim Ośrodku Ruchu Drogowego?
– Tak, dobrze Pan trafił. – odparł rozbawiony formalnością gościa sekretarz.

– Chcę się zapisać.

Już po kilku miesiącach, Hermes był gotowy do jazdy. O dziwo nie jako kursant, ale instruktor! Oczywiście boski posłaniec musiał uczęszczać na różnorakie wykłady i lekcje, pomimo że od dawien dawna wiedział wszystko o motoryzacji, a pierwsze znaki drogowe były jego autorskim wynalazkiem. Egzamin zawodowy nie sprawił mu więc trudu. W wolnym czasie szlifował swoje umiejętności rozmowy i negocjowania. Popołudniami uczęszczał do tłocznych kawiarenek w centrum Krakowa, a nocą do klubów czy barów. Przy wypełnianiu papierów, pomogło mu również wcześniejsza sytuacja na przystanku, która zmusiła go do zmiany imienia na nieco bardziej... przyziemne. Od teraz znany był jako Krzysztof Skrzydłowski, 48-letni mężczyzna, który wcześniej pracował jako kurier. Oczywiście, wszystkie z danych, jakie wpisywał w niekończących się deklaracjach, umowach i wnioskach były zmyślane, ku uciesze jego samego. Mimo wolności, jaką czuł w momencie przyścia na ziemię, posłaniec wciąż nie potrafił się przyznać do tęsknoty za uczuciem bycia użytecznym. To właśnie ten jak najbardziej ludzki sentyment, popchnął go w kierunku zostania instruktorem jazdy. Zawód ten pozwalał mu na wiele więcej swobody niż roznoszenie listów i dawał mu poczucie kontroli, którego tak bardzo pragnął.

Panu Krzysztofowi przydzielono wielkie zadanie – prowadzenie wykładów dla kursantów. Instruktor był nieco zawiedziony, że nikt z zapisanych chętnych nie został powierzony pod jego skrzydła, aby jeździć po mieście. Zgorzkniały nosił czarne torby z projektorami, głośnikami i inną elektroniką, aby włączać znudzonym uczniom filmy instruktażowe. W sali siedziało zwykle kilka osób, ulubioną Skrzydłowskiego była drobna jasnowłosa dziewczyna, która na każdym wykładzie zasypiała. Kiedy wyjątkowo nie spała, żuła gumę, która przyklejała się jej do ust. Groteskowość tych sytuacji stanowiła jedyne źródło rozrywki wykładowcy w czasie długich i monotonnych, zimowych dni. Inną z przyjemności umilających mu czas była obrzydliwie rozwodniona, jałowa kawa z automatu na korytarzu. Jego znajomi z pracy śmiali się z jego narzekania na wiecznie pusty czajnik i stos nieumytych naczyń w pracowniczej kuchni, gdy Skrzydłowski popijał nowo odkrytą, płynną ambrozję. Po upływie około miesiąca oglądania w kółko tych samych filmów w towarzystwie najwyżej pięciu osób i wielu spotkań ze zaznajomionym ratownikiem Skrzydłowski został wezwany do sekretariatu. To właśnie tam dowiedział się, że ma swojego pierwszego kursanta!

Zanim jednak spotkał swojego podopiecznego, sam postanowił nieco poznać miasto.

Jeździł po zabłoconych, szarych drogach przyglądając się znakom. Piękna architektura Krakowa toczyła burzliwą walkę z industrialnym wyglądem stali i zielonych drogowskazów. Sygnalizatory świetlne czy znaki drogowe wydawały się obce w tym środowisku, były swoistym gatunkiem inwazyjnym. Po kilkudziesięciu minutach eksplorowania Skrzydłowski wjechał na skrzyżowanie, gdzie ruchem kierował młody policjant. Mężczyzna o wesołych oczach i śniadej skórze prezentował swój profil instruktorowi. Miał nos przypominający orli dziób i czarne, pierzaste włosy wystające spod policyjnej czapki. Pomimo zabawnego stroju, jakim była rażąca kamizelka i głupiutki gwizdek na szyi, policjant wyglądał bardzo dostojnie, poruszał się płynnie i z wyczuciem, stąpając po żółtych liniach namalowanych niedawno na jezdni. Gdy w końcu spojrzał w stronę kierowcy z literą „L” na dachu, uśmiechnął się i wykonał gest, pozwalając Skrzydłowskiemu jechać na wprost. Instruktor minął mężczyznę wciąż patrzącego na niego z najszczerzą życzliwością.

Zniecierpliwiony czekał w umówionym miejscu na ucznia. Zaparkował pod uniwersytetem, na który uczęszczał kursant. Skrzydłowski był nieco zdziwiony, że jego podopieczny nie ukończył dopiero co liceum, ale postanowił, że nie będzie się tym zniechęcał. Uderzając palcami o deskę rozdzielczą, w końcu zobaczył kogoś, kto podszedł do jego samochodu. Usłyszał grzeczne powitanie i huk torby rzuconej na tylne siedzenie. Zanim zdążył się obejrzeć, obok niego usiadł student. Poprawił ciemne kręcone włosy, których niesforny kosmyk wpadł mu do oczu. Odwrócił głowę i podał instruktorowi rękę na powitanie:

- Nazywam się Rywecki.
- Skrzydłowski Krzysztof, miło mi. – wyciągnął ze schowka teczkę z papierami, śliniąc palec, wertował kartki w poszukiwaniu dokumentu – R... Ry... Rywecki Antoni. Z tego, co tu widzę, nie uczęszczał Pan na wykłady, prawda? – Instruktor zsunął nieco okulary.
- No tak... Niestety we wtorki o szesnastej miałem próby z moim zespołem – jęknął niby rozżalony.
- Cóż, granie w zespole chyba nie jest ważniejsze od nauki przepisów drogowych?
- Oczywiście, że jest! Jestem głównym gitarzystą! – Zerknął porozumiewawczo na tylne siedzenie.

Skrzydłowski zobaczył oblepiony wszelkiego rodzaju naklejkami futerał z gitarą Ryweckiego. Westchnął i począł dalej szukać dokumentów. Po załatwieniu formalności wywiózł muzyka na plac, gdzie chciał nauczyć go ruszać z miejsca.

Instruktor tłumaczył kursantowi podstawowe rzeczy, gdzie jest sprzęgło i do czego służy,

jak zmieniać biegi, jakie są rodzaje świateł. Rywecki przerywał mu co chwilę, wtrącając dziwne nawiązania muzyczne zrozumiałe tylko dla niego samego. Skrzydłowski zaczynał się powoli tym irytować, ale nie dawał tego po sobie poznać. Po chwili przyszła pora na spojrzenie pod maskę samochodu. Było to dla Skrzydłowskiego wybawienie, świeże powietrze orzeźwiło go nieco. Gdy stał już na zewnątrz, polecił Ryweckiemu, aby podniósł klapę. Młody muzyk z niepoprawną pewnością włożył palce pod maskę i szarpnął energicznie. Przerażony Skrzydłowski powiedział do kursanta:

– Spokojnie, bo zniszczysz mi auto! Najpierw pociągnij dźwignię pod deską rozdzielczą! Instruktor odsunął studenta od samochodu. Rywecki stał w osłupieniu z twarzą w odcieniu buraka, zaśmiał się tylko nerwowo, udając, że skubie swoje skórzane rękawiczki. Instruktor wziął głęboki wdech, po czym ze spokojem pokazał mu jak poprawnie otworzyć maskę. Antoni powtórzył po nauczycielu, po czym ucieszony zachichotał. Śmiertelnie zmęczony Skrzydłowski rozkazał wsiąść mu do pojazdu. Gdy byli już w środku, łamiącym się głosem oznajmił:

– Jeżeli chcesz... – chrząknął – Jeżeli chce Pan – tu podniósł głos – nauczyć się jazdy, musi Pan się naprawdę przyłożyć. Pana dzisiejsze wyczyny są dowodem na brak zaangażowania i pańską niewiedzę.– Skończył i spojrzał na muzyka.

– Hm? – Rywecki popatrzył na instruktora brunatnymi oczami. Nie słuchał. Miał w uszach słuchawki...

Wściekły Skrzydłowski zacisnął usta, chwycił kurczowo kierownicę i odjechał w milczeniu z placu manewrowego.

Gdy odwiózł już Ryweckiego do jego mieszkania, zawrócił. Trasa, którą jechał, zmusiła go do ponownego minięcia policjanta „orła” na remontowanym tymczasowo skrzyżowaniu. Instruktor niecierpliwie czekał na swoją kolej, bacznie obserwował mężczyznę w jaskrawej kamizelce, który był w tym momencie żywym drogowskazem. Po skinięciu przez niego dłonią Skrzydłowski przejechał obok, z przerażeniem analizując jego twarz. Policjant w oświetleniu nocnych latarni i rażącej, żółtej sygnalizacji przypominał mu irytującego Ryweckiego. Mieli taki sam haczykowany nos! Mężczyzna szybko jednak odrzucił tę myśl i pojechał dalej.

Już kilka dni później Skrzydłowski sącząc ulubioną rozwodnioną kawę, stał w sekretariacie oparty o biurko. Został przydzielony mu kolejny kursant. Instruktor cicho liczył, że tym razem nie będzie to osoba tak roztrzepana, jak Rywecki. Zgarnął leżące przed nim papiery, po czym udał się do swojego czerwonego samochodu i pojechał odebrać nowego ucznia. Gdy dotarł na miejsce, zobaczył gwarny kiermasz. Zewsząd było słychać wołanie sprzedawców,

ręcznie wyszywane obrusy i firany porywiście tańcowały w zimowym wietrze, konkurując z ażurowymi płatkami pierwszego śniegu. Tłum zachichotał wesoło na widok ulicznego grajka wykonującego fikuśne akrobacje. Po lewej stronie piętrzyły się stosy świec z pszczelego wosku o miodowym odcieniu, naprzeciwko staruszek sprzedawał wystrugane w drewnie zabawne ptaszki o przewrotnych oczkach i malowanych piórkach. W całym tym pstrokatym, pachnącym grzankami i winem harmidrze, stała blaszana scena, na której koncert dawał jakiś mało znany zespół. Z każdej strony przechodnie byli kuszeni aromatycznymi zupami pełnymi ziół czy rumianym, ciepłym chlebem. Niedaleko budki z krwistym barszczem otoczonej szerokimi ławami, skrywała się niepozorna kwiaciarnia, z której nieśmiało wychylały się egzotyczne, szklarniowe kwiaty. Ich delikatny zapach usunął się na margines, zamarzając w kolczastym mrozie. Z wycofanego kiosku wyszła drobna kobieta w jasnej puchowej kurtce, zamykała sklepik pękiem komicznie dużych kluczy. Skrzydłowski minął ją, potrzeba wypełnienia własnego patronatu go wzywała. Posłaniec był w swoim żywiole, targował się z kupcami tylko po to, aby ich zdenerwować, podbierał słodkości z papierowych tac przesiąkniętych tłuszczem, chował do kieszeni drobne upominki zagarnięte zwinnymi dłońmi. Stracił całkowicie poczucie czasu, to właśnie na jarmarku stał się prawdziwie wolny! Niestety, obowiązki uderzyły w niego ze zdwojoną mocą, gdy spojrzał na cyferblat swojego zegarka...

Po wyjściu z gabinetu przełożonego, który długo prawił, jak nieodpowiedzialnie zachował się jako instruktor, Skrzydłowski poczłapał apatycznie w stronę uwielbianego przez niego automatu. Spoglądał rozmarzony w papierowy kubeczek rozmoczony od gorącej kawy, gdy nagle z transu wyrwało go wesołe powitanie. Gdy uniósł głowę, zobaczył policjanta „orła”!

– Dzień Dobry, co Pan tu robi? – Instruktor zaczął wycierać dłonie o swoje spodnie, przekładając parzący kubek z ręki do ręki – Przepraszam, nie przedstawiłem się, nazywam się Skrzy...

– Wiem, jak się Pan nazywa, Panie Skrzydłowski. – Funkcjonariusz zdjął czapkę, wyciągnął dłoń w stronę mężczyzny – Nazywam się Ryszard Rywecki, ale proszę mówić do mnie Rysiek.

Instruktor osłupiał. Jak to Rywecki?! Taki sam roztrzepany Rywecki, co jego kursant?! Skrzydłowskiego oblał zimny pot, mimo to uścisnął rękę Ryśkowi.

– Przepraszam, jeśli wypada oczywiście o to zapytać...czy Antoni Rywecki to być może Pana... rodzina? Dalsza?! Bliższa... – chrząknął.

– Tak! To mój starszy brat! Ja właśnie w tej sprawie do Pana. Chciałem wiedzieć, jak mu idzie. – Policjant mrugnął przyjaźnie błękitnymi oczami, czekając na odpowiedź.

– No wie Pan, Panie Rywecki... – nazwisko z trudem przecisnęło się mu przez gardło – to dopiero pierwszy raz, na razie pański brat nawet nie wsiadł za kierownicę...

– Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym... – nieco zmieszany, zachichotał nerwowo.

Młody mężczyzna ubrał czapkę. Poprawiając ciemne włosy, posłał Skrzydłowskiemu najcieplejszy ze swoich słodkich uśmiechów, po czym wyszedł z budynku. Instruktor jeszcze długo stał na korytarzu, przerażony dzisiejszym odkryciem. Po chwili dotarło do niego również, że Rysiek Rywecki jako policjant stanowi dla niego zagrożenie, w końcu Skrzydłowski w oczach prawa stał się wczoraj złodziejem. Pomimo uznania, jakim darzył jakże romantyczny akt ślubowania wierności prawu z ręką przy sercu, w tym momencie wzgardliwie myślał o policjancie. Dodatkowo przypominał mu Ganimedesa usłużnego orłu – tylko że polskiemu, na czerwonym tle i w złotej koronie. Instruktor widział w nim konkurencję, w końcu to właśnie Skrzydłowski jako Hermes był swoistym sługą reszty bogów, z tą różnicą, że roznosił listy, a nie ambrozię i nektar.

Czas płynął nieubłaganie, to była dziesiąta godzina jazdy z Antonim Ryweckim. Właśnie wjechał na skrzyżowanie, instruktor polecił mu zmienienie biegu, po czym rozkazał muzykowi czekać na zielone światło. W międzyczasie Skrzydłowski wypełniał dokumenty. Sygnalizatory zmieniły kolor na zielony, Rywecki ruszył – jak to on, z biegu drugiego zamiast pierwszego – jednak nie to okazało się tragedią w nauczaniu instruktora Skrzydłowskiego. Gitara Antoniego spadła z tylnego siedzenia. Kursant zatrzymał się na samym środku skrzyżowania, wyskoczył z samochodu jak oparzony, rzucając się na pomoc ukochanemu instrumentowi.

– Moja „Eurydyka”!

– Antek wracaj! W tym momencie wsiadaj!

Instruktor był wściekły, jego twarz zbladła, a na czole nieśmiało pulsowała sina żyłka. Kolumna samochodów za nimi wybuchła rykiem sygnałów dźwiękowych. Rywecki usiadł za kierownicą, upewniając się o bezpieczeństwie gitary i podjechał na polecony przez Skrzydłowskiego parking. Gdy tylko zaciągnął ręczny hamulec, poznał gniew swojego instruktora. Mężczyzna wymachiwał rękami jak szalony, krzyczał tak głośno, że wszystkie szyby drżały. Gdy skończył swoją reprimendę, opadł z sił, jakby spuszczone z niego powietrze. Starszy Rywecki słuchał w milczeniu, po czym skruszony wysiadł z auta. Po zamianie miejsc Skrzydłowski odwiózł go do domu. Antek siedział i patrzył w dół jak zbity pies, jego ciemne włosy zasłaniały jego profil. Zanim kursant wysiadł, instruktor chwycił go jeszcze za ramię i rzekł:

– Przepraszam Antoni, nie bierz tego do siebie. Następnym razem będzie lepiej, tylko proszę, nie rób więcej takich numerów.

Rywecki uśmiechnął się tylko, z żalem w oczach wszedł do kamienicy.

Skrzydłowski nie był w stanie wyobrazić sobie bólu, z jakim zmagał się każdego dnia Antoni Rywecki. Kolejna nieudana jazda skutkowała tym, że zrozpaczony rzucił się na łóżko w swoim pokoju z płaczem. Skoro biegów w samochodzie jest tyle samo, co strun w jego gitarze, to dlaczego nie potrafił z nich korzystać?! Codziennie wyrzucał sobie jakim nieudacznikiem i zawodem dla rodziny przyszło mu być. Jego rodzice byli bardzo dumni z Ryśka, ale nigdy nie z niego. Z jadowitym wręcz oburzeniem zareagowali na wiadomość, że chciał zostać muzykiem, dlatego zmusili go do wybrania innej ścieżki kariery – miał zostać prawnikiem. Studia sprawiły, że rzadko kiedy miał czas, aby oddać się grze. Jedynym pocieszeniem były wszechobecne paragrafy, które przypominały mu klucz wiolinowy... Gdy skończył szlochać, zadzwonił do swojego młodszego brata, jedynej osoby w rodzinie, z którą dalej miał dobry kontakt.

– Riki, braciszku kochany... – mówił wciąż łamiącym się głosem – Co u Ciebie...

– Antek, znowu płakałeś? Co się dzieje?

– Źle poszły mi jazdy... – Muzyk opowiedział bratu o zajściu z ukochaną gitarą „Eurydyką”, prezentem otrzymanym właśnie od niego. Przecierał spuchnięte od nieustannego płaczu oczy, a jego usta dygotały.

– Co ja mogę zrobić Antek... Jak chcesz to porozmawiam ze Skrzydłowskim, żeby był mniej surowy w stosunku do Ciebie.

– Nie trzeba Riki, ale dziękuję.

Muzyk zapytał jeszcze go, jak minął mu dzień, co jadł na kolację, co u rodziców i czy opiekuje się jego żółwiem. Policjant dowcipnie odpowiadał na pytania zatroskanego starszego brata, starając się go rozweselić.

– Będę już kończył, jestem strasznie głodny. – stwierdził Antek.

Pożegnali się, a Antoni jeszcze długo rozmyślał nad swoim życiem, niestety z pustym żołądkiem.

Rysiek Rywecki był młodym policjantem, toteż najczęściej powierzano mu kierowanie ruchem drogowym czy mierzenie prędkości kierowców fotoradarem. Już niedługo miało się to zmienić, bowiem Rikiemu przydzielono śledztwo w sprawie kilku kradzieży, z którymi Kraków zmagał się już miesiąc. Jednym ze skradzionych przedmiotów był kosztowny pierścionek zaręczynowy, w którego sprawie jego właściciel regularnie bywał w komisariacie. W przerwie od pracy policjant postanowił pojechać coś zjeść i przy okazji rozejrzeć się po okolicy. Traf chciał, że jadąc radiowozem zobaczył samochód Skrzydłowskiego. Instynktownie zjechał z jezdni i

zaparkował nieopodal. Poszedł zamienić kilka słów z nauczycielem Antka.

– Dzień Dobry, kontrola, dowodzik poproszę.

Skonfundowany instruktor zerkał badawczo na Ryśka.

– No przecież żartuję, Panie Skrzydłowski... — Błysnął białymi zębami i zapytał o starszego brata.

– No cóż, Antoni poprawił się nieco, jednak...

Riki przestał nagle słuchać, jego uwagę skupił przedmiot, który nerwowo w palcach obracał Skrzydłowski. Był to rzeźbiony w drewnie ptaszek o czerwonych, malowanych piórkach. Taki sam, jak jeden z wielu, które zginęły z jarmarku. Po szybkim rozejrzeniu się policjant zauważył też małą serwetkę w ludowe wzory na desce rozdzielczej, tuż pod fikuśną choinką zapachową.

– Przepraszam Pana, ale mam pytanie niezwiązane z tematem Antka. Czy był Pan może na kiermaszu miesiąc temu?

Skrzydłowski doskonale wiedział, dokąd zmierza to pytanie. Przygotowywał się na ten moment tygodniami, wiedział, że po tak długim czasie na ziemi, któreś bóstwo rozkaże Temidzie ścigać go za przewinienia. On tylko spokojnie odparł:

– Tak, byłem.

– Więc rozumiem, że tę figurkę kupił Pan właśnie tam?

– To przecież oczywiste. Czy Pan coś insynuuje? – Skrzydłowski przechylił nieco głowę, wciąż wiercąc otwory spojrzeniem w swoim rozmówcy.

– Nie, zapytałem z czystej ciekawości. Jest bardzo ładna.

Zbity z tropu przenikliwością mężczyzny Rysiek, odsunął się od samochodu. Pożegnał Skrzydłowskiego przechyleniem daszka czapki i udał się z powrotem do radiowozu. Sprawa nie dawała mu spokoju, miał oczy szeroko otwarte na jakiegokolwiek wskazówki. Mimo to uznał sytuację z instruktorem za niefortunny przypadek. Był zawstydzony swoją bezpośredniością i nieumiejętnie zadany pytanie. Miał nadzieję, że jego śledztwo nie wpłynie negatywnie na naukę jazdy brata.

Szesnasta godzina kursu jazdy. Skrzydłowski zabrał Antoniego na plac manewrowy, gdzie wcześniej poustawiał pachołki wraz z pasiastymi słupkami. Podjechał w wyznaczone miejsce i pokazał starszemu Ryweckiemu jak poprawnie cofać. W jego stylu jazdy było coś wprost hipnotyzującego, wycucie ruchu pojazdu i wprawne obroty kierownicą były harmonijne. Gdy powoli zdejmował stopę ze sprzęgła, auto jakby płynęło, zatrzymując się, nie szarpało i jakimś sposobem instruktor zawsze parkował idealnie w centrum koperty. Skupionemu na jeździe mężczyźnie zaczęły nieśmiało wyrastać zza uszu złote piórka. Na szczęście instruktor w

porę się zorientował, nie chciał wyjawiać kursantowi, kim naprawdę jest. Niepozornym skinieniem dłoni pozbył się pierza i polecił Antoniemu powtórzenie po nim manewru. Muzyk zamienił się ze Skrzydłowskim i zaczął jechać. O dziwo wychodziło mu to dość dobrze, z pominięciem lekkiego przekrzywienia pachołka. Po skończonej lekcji, Antoni Rywecki był wręcz przekonany o tajemniczym mistrzostwie, z jakim jeździł Skrzydłowski. Nawet nie spostrzegł, że do futerału jego gitary przyłgnęło drobne pióro...

Skrzydłowski właśnie udał się do automatu z napojami. Przechodząc obok jednej z sal egzaminacyjnych, usłyszał stukot i stłumione wołanie o pomoc. Zszokowany pobiegł po klucz, aby otworzyć pomieszczenie, niezdarnie strącił z haczyków resztę z nich. Nie było czasu na szukanie odpowiedniego, poirytowany zabrał z kantorka skrynkę pełną narzędzi. Gdy wrócił pod drzwi sali, wydobyl z niej młotek i począł uderzać w zamek. Otwierając drzwi, zobaczył jednego ze swoich współpracowników o kołnierzu usianym czerwonymi odciskami szminki i atrakcyjną kobietę, która poprawiała swoje nieco zmierzwione włosy. Czekając na wyjaśnienia, skrzyżował ręce na piersiach:

– Dzięki Krzysiek... Ja i Laura... Sam widzisz. Jej mąż wpadł tutaj i zaczął się awanturować. – Kobieta chrząknęła tylko i spojrzała w bok. – Wariat zamknął nas tutaj!

Współpracownik zerkał badawczo na kamienną twarz instruktora, który po chwili wybuchł śmiechem.

– Oj Andrzeju... Gdyby mnie zamknięto w pokoju choćby trzy razy mniejszym z tak piękną kobietą, to bym wcale nie wołał o pomoc!

Wciąż rozbawiony Skrzydłowski odszedł, zostawiając w tyle zdziwioną jego komentarzem parę i stos rozsypanych narzędzi.

Dwudziesta godzina kursu jazdy. Po południu Skrzydłowski podjechał odebrać Antka. Na początku kursant jeździł spokojnie i przemyślanie. Zadowolony instruktor począł więc zagadywać muzyka, pytał go o jego zespół i plany na przyszłość. Rozanielony student opowiadał szczegółowo o swoich ostatnich występach w sąsiadującym z jego uczelnią klubie „Puls” czy o nowym zeszycie do nut, gdzie ćwiczył komponowanie. Rozproszony, na prośbę o zawrócenie na rondzie zareagował włączeniem lewego kierunkowskazu i jazdą pod prąd... Ledwo nim dobrze pojął swój błąd, było już po nim! Zerknął ukradkiem na Skrzydłowskiego, który siedział z założonymi rękami i spojrzeniem ostrym jak żyłki. Muzyk zatrzymał samochód.

– Czyś ty do reszty zgłupiał?! Co to miało być?! Jedziesz jak pijana bachantka!

– Nie wiem Panie Krzysztofie...

- No po prostu siwy dym! Wracasz do domu!
- Przepraszam Panie Krzysztofie...

Kursant nerwowo bawił się swoimi lokami. Skrzydłowski otarł spocone czoło i poprawił rozczochrane włosy. Mężczyzna zakończył dzisiejszą lekcję i odwiózł nieszczęsnego kursanta. Speszony i zawstydzony Antek wysiadł i spojrzał mętnymi oczami za siebie. Samochodu nigdzie nie było! Nawet nie usłyszał, gdy odjechał! Muzyk już sam nie wiedział, czy sobie to wymyślił, czy faktycznie tak zdenerwował instruktora, że ten odjechał w niewyobrażalnie prędkim tempie. Studentowi nawet nie przeszło przez myśl, że jeden z tych scenariuszy był prawdą...

Zbliżał się termin egzaminu praktycznego Antoniego Ryweckiego. Jego brat jednak miał większe problemy na głowie – w końcu natknął się na trop w sprawie wielu drobnych kradzieży. Właśnie spisywał zeznania drobnej kobiety w śmiesznych nausznikach i puchowej kurtce. Opowiedziała policjantowi o wysokim, nieco posiwiłym mężczyźnie, który przez cały wieczór targował się ze sprzedawcami, podsuwając im absurdalne wręcz ceny. Oczywiście nie było w tym nic złego, lecz taka informacja mogła okazać się kluczową w śledztwie. Funkcjonariusz podziękował pani i odprowadził ją do wyjścia. Niedługo po tym do Ryśka zadzwonił jego brat, pochwalić się zdany testem teoretycznym. Pękający z dumy Riki zapomniał na moment o kobiecie, o sprzedawcach i o złodzieju.

Trzydziesta godzina jazdy. Starszy Rywecki od razu chwycił za kierownicę. Był nieco nerwowo, ale jednocześnie podekscytowany. Spojrzał uprzejmie na instruktora. Ostatnia lekcja obyła się bez przeszkód i poleceń Skrzydłowskiego. Na samym końcu trasy, Antek się zatrzymał.

- Bardzo Panu dziękuję, Panie Krzysztofie.
- Nie ma za co Antoni, taka jest moja praca.

Muzyk odwrócił się i wydobyl z futerału gitary małe piórko do szarpania strun. Podarował trójkątny przedmiot Skrzydłowskiemu, mówiąc:

- Proszę zobaczyć, wygląda jak znak „ustąp pierwszeństwa”!
- Bardzo zabawny, dziękuję Antoni. – Uśmiechnięty od ucha do ucha instruktor był wzruszony gestem kursanta. Od razu przyczepił kostkę do lusterka.
- Niech Pan pamięta mnie nie jako nieudacznika, a pierwszego kierowcę, którego Pan uczył!
- Nie jesteś nieudacznikiem, a czy kierowcą okaże się dopiero za kilka dni.

Po pełnym emocji pożegnaniu, starszy Rywecki samodzielnie podjechał pod swój dom, jeszcze

wielokrotnie dziękując i ściskając dłoń instruktora.

Przedwiosenne niebo wciąż ozdobione było rumieńcem, jednak budynki i drzewa zdążyły już ściemnieć. Najjaśniejszym źródłem światła były lampy samochodu Skrzydłowskiego, pod którego maską właśnie grzebał. Umorusany po łokcie poprawił zakurzoną dłonią daszek czapki, gdy nagle poczuł na plecach czyjś oddech. Odwrócił się i ujrzał młodego chłopaka, który odskoczył nieco od instruktora.

- Mogę w czymś pomóc? – Otarł ręce o kraciatą koszulę.
- Nie, to znaczy... Czy jest Pan może egzaminatorem? – Nieznajomy był bardzo nerwowy, zerkał ciągle na boki.
- Nie, nie jestem. Pewnie liczył Pan, że coś podpowiem?
- Chciałem tylko się dowiedzieć, co mogę zrobić, aby się nie denerwować...

Skrzydłowski uśmiechnął się, wytarł dłonie w szmatkę. Poleciał usiąść trzęsącemu się chłopakowi na ławeczce. Sam tylko westchnął, po czym wyjaśnił, jak wygląda egzamin, krok po kroku. Cierpliwie odpowiadał, nawet na pytania należące do tych mniej mądrych... Nim skończył mówić, na grafitowe niebo wdrapał się srebrny sierp księżyca. Uspokojony kursant podziękował serdecznie Skrzydłowskiemu, a ten przemówił raz jeszcze:

- Weź sobie to. Mnie zawsze przynosi szczęście na egzaminach. – Wręczył chłopcu swoją czapkę z logo przedstawiającym uskrzydłony sandał oraz odczepił swój brelok od brzęczących kluczy. Na zawieszce z jednej strony widniała przerażająca twarz kobieca, zaś z drugiej stojący dęba pegaz.

Kursant protestował, jednak mężczyzna nalegał. Chłopak wziął więc przedmioty i powiedział:

- Dziękuję i do zobaczenia! Obiecuję, że Pana nie zawiodę!

Pomachał do instruktora, przed którym wciąż widniała otwarta maska samochodu i oślepiające reflektory świateł postoju.

Dzień egzaminu praktycznego. Antoni Rywecki ubrany w przyciasny grafitowy garnitur z pasującym krawatem w nuty udał się w kierunku placu manewrowego. Poprawił niesforne loki i usiadł na najbliższej ławce, spoglądał na czubki lakierowanych butów. Najbardziej denerwował się tym, że będzie jechał z nieznaną mu dotąd osobą. Gdy usłyszał kroki, zerwał się i zobaczył swojego ulubionego nauczyciela – Krzysztofa Skrzydłowskiego! Oficjalnie, jako instruktor nie miał prawa, aby egzaminować swoich uczniów. Przebiegły mężczyzna zamieszał jednak nieco w papierach swoim kaduceuszem, dzięki czemu mógł przeprowadzić ostateczny test zdolności muzyka. Uśmiechnął się i zapytał:

– Widzę, że dzisiaj bez „Eurydyki”?

Rysiek Rywecki siedział przy swoim biurku, gdy nagle zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i wtedy potwierdziły się jego najskrytsze obawy – Krzysztof Skrzydłowski był odpowiedzialny za ostatnie kradzieże w Krakowie. Dowodem na to okazały się amatorskie nagrania jednego z uczestników kiermaszu, na których wyraźnie widać przewinienia instruktora. Odsunął energicznie fotel i pobiegł na zewnątrz. Wskoczył do radiowozu, włączył koguta i pojechał jak najszybciej mógł do WORD-u.

Właśnie jechali ulicą Wyspiańskiego, gdy Skrzydłowski usłyszał dźwięk syren policyjnych. Miał złe przeczucia, zamienił się więc miejscami ze starszym z Ryweckich i pognali przed siebie. Zaskoczony muzyk gorączkowo zadawał pytania, a egzaminator je wciąż ignorował. Przyspieszał tylko, niewypełniona do końca karta egzaminacyjna kotłowała się teraz między sprzęgłem a hamulcem. Gdy zgubili radiowozy, Skrzydłowski postanowił wyznać Antoniemu prawdę.

– Ale jak to możliwe? To jakiś kawał, tak? Czy dodatkowy test, aby sprawdzić moją czujność za kółkiem?

– Nie Antoni. Udowodnię ci moją prawdziwą tożsamość.

Znajdowali się w samym centrum Krakowa, jednak Skrzydłowski dodawał coraz więcej gazu. W przeciągu zaledwie minuty wyjechali na drogę poza miastem, jednak tam również natknęli się na kolejny radiowóz! Hermes miał pewność, że inni bogowie tym razem mu nie odpuszczą. Skręcił w drogę podporządkowaną. Wtedy odezwał się Rywecki:

– A co z moim egzaminem?!

– Nie możemy spoglądać w tył.

W oddali majaczył znak ostrzegający o pracach budowlanych na jezdni, ten warunek decydował o ruchu wahadłowym na tym odcinku. W pośpiechu ani Hermes, ani Antek nie zauważyli znaku i zjechali na lewy pas, wciąż ścigani przez losowo napotkany radiowóz. Fortuna nie sprzyjała im, bowiem z naprzeciwka wyjechał sedan pełen rozbawionych imprezowiczek, które po chwili zaczęły krzyczeć. Jechali z niewyobrażalną prędkością, więc nie było szans na zatrzymanie. Zderzenie czołowe odebrało życie wszystkim uczestnikom wypadku.

Posłaniec stał nad wrakami samochodów, spoglądał na masakrycznie powykrzywiane i powyłamywane szczątki ludzkie. Westchnął i zaczął szukać czegoś pośród odłamków. Wiedział, że dla niego utrata fizyczności nie gra większej roli, jednak nieskończenie żałował odebrania

życia Antoniemu. Po chwili znalazł nieco zniekształcone piórko-pamiętkę oraz znak drogowy, który nie wiadomo skąd się tam znalazł. Wyciągnął duszę muzyka z wraku, jednak duch nie miał głowy... Zrezygnowany porwał część świadomości Ryweckiego do podziemi, oparł ją o stos kości niedaleko drogi Styks. Przykazał Charonowi mieć oko na ducha, sam musiał znaleźć głowę kursanta.

Rysiek był zrozpaczony. Siedział w radiowozie zszokowany, nie mając odwagi spojrzeć w stronę ratowników wydobywających to, co przed chwilą było jego bratem z kawałków stali. Jego koledzy z pracy próbowali przemówić do niego, lecz on siedział tylko w rozrywającym serce osłupieniu. Pragnął przypomnieć sobie chociaż jeden moment spędzony z Antkiem, lecz wszystkie wspomnienia wyparowały, jak ręką odjął. Z jego oczu lały się gorzkie łzy, ale on nie mógł nic zrobić. Zastygł nieruchomo, a gdy podeszli do niego ratownicy, wciąż milczał, patrząc tępo w przestrzeń. Później kompletnie nie pamiętał, co się stało.

Hermes kroczył powoli i dostojnie, trzymając w rękach znak drogowy znaleziony w miejscu tragedii. Na znaku leżała zdekapitowana głowa Antoniego, o dziwo wciąż świadoma, lecz milcząca. Gdy dotarli do pozostawionego obok Styksu ciała, posłaniec umieścił głowę na karku, dusza muzyka wstała, otrzepując nogi z kurzu.

– Panie instruktorze a co z moim bratem?! Zostanie teraz sam i na pewno będzie bardzo cierpiał... – po policzku Ryweckiego spłynęła łza.

– Trudno, życie toczy się dalej, poradzi sobie. – odpowiedział niewzruszony.

– Nie no teraz to Pan przegiął, Panie Skrzydłowski!

Antek był rozżalony i wściekły. Tak strasznie żałował, że akurat tego dnia wsiadł do samochodu. Gdyby tylko Skrzydłowski oddał się w ręce policji, teraz być może siedzieliby z Rikim w ich ulubionej kawiarni, do egzaminu podszedłby kiedy indziej. Jeszcze dziś wieczorem zagrałby z przyjaciółmi koncert w obskurnym barze niedaleko jego domu, a po występie napiliby się razem w towarzystwie ładnych dziewczyn. Zrozpaczony kursant zaniósł się szlochem. Całe jego dotychczasowe życie przepadło z kretesem przez pośpiech Hermesa.

– No cóż... Jestem przekonany, że tutaj w Hadesie również możesz osiągnąć muzyczny sukces. – odparł ze spokojem psychopomp, jakby czytając w myślach Antka.

Przykazał zaczekać rozszoszczonemu podopiecznemu, zawiązał swoje uskrzydłone sandały i pognął w mgnieniu oka na Olimp. Antoni nie musiał długo czekać, po zaledwie ułamku sekundy Hermes wrócił, trzymając w rękach przepięknie zdobioną lirę niewiadomego pochodzenia...

– To dla ciebie, żebyś dobrze mnie wspominał.

Wciąż nadąsany muzyk przyjął bez słowa prezent postańca. Hermes nie miał odwagi przyznać, że zmartwił go również los młodszego Ryweckiego. Postanowił ukoić nieco jego ból, zsyłając mu przez jakiś czas najpiękniejsze ze snów. Niecierpliwy Charon wyciągnął rękę do Hermesa, oczekując zapłaty za wejście do pojazdu. Bóg szukał po kieszeniach jakiegokolwiek monety, lecz nie mógł żadnej znaleźć. Antoni wyciągnął płytę uwielbianej przez siebie „Sudki Buflera” z jednogroszówką na okładce. Wręczył album Charonowi, który nieco zdziwiony przyjął opłatę i polecił istotom wejść na pokład. Po chwili przewoźnik usłyszał porytowany i pretensjonalny ton głosu:

– Charonie, kto cię uczył jeździć do cholery?!

– Nikt Hermesie. Sam się nauczyłem.

Posłaniec zatrzymał wóz, przyczepił w widocznym miejscu tabliczkę z literą „L” i począł instruować Charonowi, jak ma jechać przez wielopasmową niby-jezdnię Styksu. Na tylnym siedzeniu rozbawiony sytuacją muzyk zwijał się ze śmiechu.

– Wiosłuj, a nie rżysz! – burknął oburzony starzec.

Niedługo potem dostali się w końcu do Erebu, gdzie po minięciu Cerbera, zarówno Antoniego Ryweckiego, jak i Hermesa czekał surowy, lecz sprawiedliwy sąd. Konsekwencją czynów popełnionych jako śmiertelnik było zesłanie bóstwa na płaszczyzny znaków drogowych. Posłaniec już ucieszył się z pozornie łagodnego wymiaru kary, dopiero Radamantys – jeden z sędziów podziemia – wyjaśnił mu, na czym polegać będzie wyrok. Już do końca świata będzie przechodził przez niekończące się pasy czy stał nieruchomo wpisany w czerwony okrąg. Zawstydzony bóg, który raczej miał na myśli hermy stojące na rozdrożach, ukrył jasną twarz w skrzydłach petasosu.

Po tygodniu Riki po raz pierwszy od pogrzebu zebrał się na wizytę na cmentarzu.

Nie chciał jechać tam samochodem, więc poczekał na tramwaj. Gdy wysiadł, kupił na pobliskim straganie najpiękniejsze kwiaty, jakie udało się mu znaleźć. Obwiązał je satynową wstążką, wybrał też najbardziej pstrokaty znicz. W kieszeni wciąż miał płytę zespołu brata, którą słuchał całymi dniami. Gdy znalazł się na miejscu, zignorował przywitania znajomych, którzy ze zrozumieniem jego cierpienia postanowili zostawić go samego. Do tej pory silny i spokojny Rysiek, zaniósł się pełnym żalu płaczem. Upadając na kolana, wypuścił z rąk bukiet, który rozsypał się kaskadami po żwirze. Upuszczony lampion prysł na milion kawałków, tak samo, jak serce Rikięgo każdego dnia, gdy wstając rano, przypominał sobie, w jakiej rzeczywistości przyszło mu żyć – samotnej, bez śmiechu Antoniego i jego ciągłego narzekania na

niedogodności dnia codziennego. Wyrzucając sobie przewinienia, w geście upamiętnienia położył na grobie brata jedną z jego ulubionych kostek do gitary. Pod wazon z kwiatami wsunął jego zeszyt do nut, a na krzyżu powiesił obrazek świętego Krzysztofa, którego ciągle zapomniał mu podarować. Po skończonej wizycie, wstał, poprawił szal i wrócił do tak pustego i cichego bez muzyki Antka domu. Jedyńm kompanem jego niedoli był porzucony żółw. Riki jeszcze długo śnił o bracie, który śpiewał mu i grał chwytające za serce melodie, zapewniając go, że ma się dobrze. Obiecał mu też, że kiedyś na pewno znowu się spotkają. Gdy dał Rikiemu słowo, już nigdy więcej się mu nie przyśnił.

Całe miasto ogarnął dziwny fenomen – drogowskazy coraz częściej przyciągały do siebie zgubione, ptasie pióra, które utrudniały widoczność piktogramów. Intrygującym zjawiskiem był również przedwczesny wykwit krokusów, tulących purpurowe skronie do zimnych stalowych słupów przy drogach. Po upływie około miesiąca, w gazetach można było przeczytać również o zdekapitowanej głowie, którą dopiero teraz znaleziono kilkadziesiąt metrów od miejsca wypadku, w pobliskiej rzeczce.

Dla R. i M.